



# Stany Zjednoczone i hitlerowskie *Machtergreifung*

Jadwiga Kiwerska

**Dojście do władzy Hitlera 30 stycznia 1933 r., stanowiące punkt przełomowy w historii Niemiec i dziejach świata XX wieku, prawie zbiegło się w czasie z ważnymi wydarzeniami w Stanach Zjednoczonych. Pięć tygodni po hitlerowskim *Machtergreifung*, 4 marca 1933 r. do Białego Domu wprowadził się Franklin Delano Roosevelt, pierwszy od czasów Thomasa Woodrowa Wilsona prezydent z Partii Demokratycznej, reprezentujący zupełnie inny system wartości niż przywódca partii nazistowskiej. Już od pierwszych kontaktów na linii administracja Roosevelta – reżim hitlerowski iskrzyło, jakkolwiek po stronie amerykańskiej były próby układania się z Berlinem i oddziaływania na jego politykę.**

Trzeba jednak przyznać, że ani ustępująca republikańska administracja Herberta Hoovera, a tym bardziej szykująca się do przejęcia władzy ekipa Roosevelta nie wykazały większego zainteresowania samym faktem dojścia nazistów do władzy. Wynikało to z charakteru ówczesnej amerykańskiej polityki zagranicznej, zwłaszcza przekonania, że sprawy Niemiec są zbyt odległe, aby koncentrować uwagę Waszyngtonu. Wpisywało się to zresztą w obowiązującą prawie od początku istnienia państwa amerykańskiego zasadę izolacjonizmu w stosunku do Europy. Dodajmy, że właśnie dlatego udział USA w Wielkiej Wojnie niemal nazajutrz po jej zakończeniu amerykańska opinia publiczna i większość polityków uznała za niepotrzebny incydent.

Wprawdzie trudno było po I wojnie światowej odciąć się całkowicie od Starego Świata, powiązanego już z Ameryką relacjami gospodarczymi, a zwłaszcza nierozstrzygniętymi kwestiami długów i reparacji wojennych. Choćby z tego powodu uwagę USA zwracały zwłaszcza Niemcy, miejsce znacznego zaangażowania kapitału amerykańskiego. Waga Berlina wiązała się także z kwestią rozbrojenia, stanowiącego dla Waszyngtonu istotny czynnik poprawy sytuacji gospodarczej w świecie, co zdecydowanie leżało

### Redakcja:

Stanisław Żerko

### Korekta:

Hanna Różanek

**Instytut Zachodni  
im. Z. Wojciechowskiego**

ul. Mostowa 27A  
61-854 Poznań

(+48) 61 85 27 691  
izpozpl@iz.poznan.pl  
www.iz.poznan.pl



w interesie amerykańskim. Amerykanie uważali, że to właśnie w Berlinie szukać należy rozwiązania kwestii ograniczenia zbrojeń. W okresie prezydentury Hoovera można było nawet mówić o poparciu dla rewizjonistycznych dążeń republiki weimarskiej, w tym dotyczących polskiego „korytarza”. Uważano, że popierając żądania Niemiec, działa się na rzecz umocnienia w republice weimarskiej demokracji. Dojście do władzy nazistów można było zatem uznać za porażkę wysiłków republikańskiej administracji.

Gdy z kolei władzę w Białym Domu objął Roosevelt, jego uwaga skoncentrowała się na walce z kryzysem. Sprawy polityki zagranicznej zostały więc podporządkowane reformom gospodarczym i społecznym w ramach *New Dealu*. W programie polityki zagranicznej, przedstawionym przez prezydenta-elekta w styczniu 1933 r., odnosząc się do spraw europejskich, Roosevelt deklarował, że chce się przyczynić do „politycznej rekonstrukcji i tym samym do bezpieczeństwa w Europie”, co było charakterystyczną dla dotychczasowej polityki amerykańskiej, a bliską taktyce Niemiec, nutą lekceważenia porządku wersalskiego. W rozmowie z brytyjskim ambasadorem Roosevelt wręcz mówił o możliwości przekazania polskiego „korytarza” Niemcom w zamian za gwarancję swobodnej komunikacji Polski z Gdynią. W swoich zapiskach Roosevelt zresztą przyznawał, że od młodości spoglądał na Niemcy, które wówczas poznał, z dużo większą sympatią niż na Wielką Brytanię czy Francję.

Jeszcze przed inauguracją swojej prezydentury Roosevelt wyraził życzenie utrzymania poprawnych stosunków z Niemcami. Takie przesłanie przedstawił w Berlinie pod koniec stycznia 1933 r., w przededniu hitlerowskiego *Machtergreifung*, nieoficjalny emisariusz prezydenta-elekta William E. Bullitt. Ale też w informacji skierowanej do Roosevelta po wizycie w Berlinie ten przyszły ambasador USA w Paryżu wyrażał zaniepokojenie bliską perspektywą przejęcia władzy przez Hitlera i konsekwencjami tego dla porządku w Europie.

Wkrótce po objęciu prezydentury, w połowie marca 1933 r., Roosevelt przekazał ambasadorowi Niemiec w Waszyngtonie baronowi Friedrichowi von Prittwitz und Gaffron sugestię spotkania z szefem niemieckiej dyplomacji Konstantinem von Neurathem. Chodziło o przedyskutowanie kwestii rozbrojeniowych w związku z toczącymi się w Genewie obradami Konferencji Rozbrojeniowej (1932-1934). Ale tak naprawdę prezydent obawiał się pogorszenia stosunków z Niemcami jako nieuchronnego efektu zmian politycznych w III Rzeszy.

Wymowna była również nominacja ambasadora USA w Berlinie, którym został William E. Dodd, profesor historii na Uniwersytecie w Chicago. Wcześniej rozważano takie kandydatury, jak Jamesa M. Coxa, ubiegającego się



z ramienia Partii Demokratycznej o prezydenturę w 1920 r., czy Newtona D. Bakera, byłego sekretarza wojny w administracji Wilsona. Typowanie takich postaci świadczyło o znaczeniu placówki w Berlinie. Z kolei prof. Dodd należał do najbardziej uznanych historyków amerykańskich i choć nie był ani dyplomatą, ani politykiem, to jednak wydawał się Rooseveltowi odpowiednim kandydatem do podjęcia tej ważnej misji i to w tak wyjątkowym momencie. Powszechnie znane było przywiązanie Dodda do najlepszych tradycji amerykańskiej demokracji. Ale też żywił on szacunek dla pozytywnych cech Niemiec i sympatię do narodu niemieckiego, pochodzące z czasów jego studiów na Uniwersytecie w Lipsku. Te właśnie elementy podkreślał Roosevelt, uzasadniając wybór Dodda. „To trudna placówka – stwierdził prezydent w rozmowie z nowo mianowanym ambasadorem. Pańskie podejście jako przedstawiciela świata kultury powinno ułatwić Panu pracę. Chcę mieć w Niemczech amerykańskiego demokratę, który byłby przykładem dla Niemców”.

Chodziło więc o to, aby ambasador Dodd realizował w Berlinie specjalną misję, wyznaczoną przez Roosevelta, czyli odwołując się do pozytywnych elementów niemieckiej tradycji i kultury, wspierał umiarkowane tendencje w życiu politycznym Niemiec i tym samym przeciwstawiał się coraz wyraźniejszym przejawom totalitaryzmu i rasizmu w III Rzeszy. Zadanie tyleż piękne, co nierealne, dowodzące wielkiej naiwności Roosevelta.

Tym bardziej że Hitler od początku niezbyt poważał Stany Zjednoczone. Swoje informacje na ich temat czerpał głównie z dwóch źródeł: od Kurta Ludeckiego i dr. Ernesta Hanfstaengla. Obaj cieszyli się zaufaniem Hitlera, obaj zostali odsunięci od łask, a w czasie II wojny światowej znaleźli się w amerykańskim więzieniu. Autorytetem dla Hitlera był przede wszystkim Ludecke, tajny emisariusz nazizmu w USA, wiele podróżujący po Stanach, posiadający dobre kontakty z przedstawicielami amerykańskiej klasy politycznej. Hitler wypowiedział się kiedyś o Ludeckem, że „wie on więcej o Ameryce niż całe Auswärtiges Amt”. Z kolei Hanfstaengl był zaufanym Hitlera od wczesnych lat. Wykształcony na Harvardzie, historyk, pianista i handlarz sztuką – w opinii amerykańskiego korespondenta Williama L. Shirera, autora cenionych obserwacji z pobytu w III Rzeszy, zebranych w pracach *Berlin Diary* oraz *The Nightmare Years* – był raczej kłownem niż prawdziwym konsultantem.

Jednak właśnie Hanfstaengl i Ludecke funkcjonowali jako główni doradcy Hitlera w sprawach amerykańskich. Rzadko Hitler zasięgał informacji z bardziej kompetentnych źródeł: od dyplomatów czy przedstawicieli niemieckich kręgów gospodarczych, utrzymujących kontakty z biznesem amerykańskim i dysponujących praktyczną wiedzą o Ameryce. Dlatego jego pojęcie o państwie amerykańskim było dość powierzchowne. „Czym jest



Ameryka – pytał retorycznie Hitler w rozmowie z Hanfstaenglem. Przecież to jedynie milionerzy, królowe piękności, głupie płyty i Hollywood”. Gdy zaś stawiano kwestię przyjaźni amerykańsko-niemieckiej, Hitler kategorycznie stwierdził: „Jaka przyjaźń? Przyjaźń z żydowskimi handlarzami i ciułaczami czy jakimś narodem amerykańskim?” Amerykański *melting pot*, tak różnorodny pod względem rasowym, etnicznym czy religijnym, z pewnością nie spełniał nazistowskiej koncepcji państwa i narodu.

Jedynie aspekty życia amerykańskiego, które interesowały kanclerza III Rzeszy, to osiągnięcia przemysłu, odkrycia naukowe i architektura. Prosił więc ambasadora Niemiec w Waszyngtonie o przesłanie mu pocztówek z amerykańską architekturą, zwłaszcza neoklasycystycznymi budowlami stolicy. Zresztą samo położenie geostrategiczne Stanów Zjednoczonych i naturalna granica, wyznaczona przez Atlantyk, a także przekonanie, że izolacjonizm wiąże ręce prezydentowi w polityce zagranicznej, eliminowały państwo amerykańskie ze sfery szczególnego zainteresowania Hitlera.

Po rezygnacji w marcu 1933 r. von Prittwitza, arystokraty o przekonaniach demokratyczno-republikańskich, ze stanowiska ambasadora w USA (jego misja zakończyła się w kwietniu 1933 r.), Hitler uznał placówkę w Waszyngtonie za wystarczająco odległą, aby powierzyć ją Hansowi Lutherowi. Dla dotychczasowego prezesa Banku Rzeszy nominacja ta była równoznaczna z zesłaniem, a dla odbioru zewnętrznego było to potwierdzeniem ignorowania przez kanclerza III Rzeszy znaczenia USA na arenie międzynarodowej.

Tymczasem prof. Dodd, który placówkę w Berlinie objął w lipcu 1933 r., miał realizować zadanie/misję wyznaczoną przez prezydenta Roosevelta. Początkowo starał się utrzymać poprawne stosunki z nową elitą polityczną w III Rzeszy. Pilnie też obserwował autokratyczne i rasistowskie posunięcia reżimu hitlerowskiego. Już w pierwszych dniach swojej misji w Berlinie prof. Dodd notował w diariuszu: „Żał mi tych trzeźwo myślących Niemców, którzy zupełnie dobrze orientują się w problemach międzynarodowych i chcieliby pracować dla dobra swego kraju, a muszą słuchać takich ignorantów, jak Hitler, Göring lub Goebbels. Niewiele też czasu upłynęło i ambasador Dodd stał się zdecydowanym oponentem reżimu hitlerowskiego; swoją nieskuteczną, ale przecież niemożliwą do zrealizowania, misję w Berlinie zakończył w 1937 r.

Rosnąca niechęć Roosevelta do władz III Rzeszy była też efektem tego, co działo się na Konferencji Rozbrojeniowej w Genewie. Administracja Roosevelta, podobnie jak poprzednicy, przywiązywała wagę do powszechnego rozbrojenia. Już w drugim tygodniu urzędowania w Białym Domu, gdy obradom genewskim groził poważny impas, prezydent oświadczył,



że „rozbrojenie jest jednym z najważniejszych kluczy do rozwiązania sytuacji światowej” i zadeklarował „użycie wszystkich możliwych środków, aby konferencja zakończyła się sukcesem”. Oznaczało to wejście w konflikt z reżimem hitlerowskim, który nie krył swych dążeń militarystycznych.

W każdym razie pod koniec marca 1933 r. USA ponownie wysłały swoją delegację do Genewy. Jej przewodniczący Norman H. Davis udał się najpierw do Berlina, dowodząc wagi, jaką USA przywiązują do stanowiska Niemiec. Ze spotkań z przedstawicielami nowych władz Davis wyniósł podwójnie [negatywne wrażenie wywołane niemieckimi dążeniami zbrojeniowymi oraz wrogim stosunkiem do ludności żydowskiej.

Świadomość, że to Berlin stanowi główną przeszkodę na drodze do rozbrojenia, skłonił Roosevelta do wystąpienia 16 maja 1933 r. z apelem skierowanym do światowych przywódców, którego w podtekście głównym adresatem była jednak strona niemiecka. Popierając brytyjski plan stopniowej redukcji zbrojeń, Roosevelt proponował zawarcie przez wszystkie mocarstwa paktu o nieagresji. Odpowiedzią Berlina było następnego dnia oświadczenie Hitlera o odbudowie militarnego potencjału Niemiec.

To wystąpienie kanclerza w Reichstagu podziało alarmująco na Departament Stanu, gdzie pojawiły się opinie, iż: „Naziści potrzebują pięciu lat pokoju, aby przygotować się lepiej do wojny”. Podobnie brzmiała wypowiedź George’a A. Gordona, amerykańskiego *chargé d’affaires* w Berlinie, który przewidywał, że Hitler w ciągu najbliższych pięciu lat zacznie realizować swoje cele opisane w *Mein Kampf*.

Administracja Roosevelta jeszcze kilkakrotnie podejmowała próby przełamania impasu w rozmowach rozbrojeniowych. Okazały się one – wobec rzeczywistych intencji III Rzeszy – bezskuteczne. Oświadczenie strony niemieckiej o wycofaniu się z Konferencji Rozbrojeniowej (i członkostwa w Lidze Narodów) 14 października 1933 r. było tego najlepszym potwierdzeniem.

Dla zwolenników izolacjonizmu w USA stanowiło to argument, aby zaprzestać jakiegokolwiek angażowania się w sprawy europejskie. Póki możliwe było osiągnięcie porozumienia rozbrojeniowego i wzmocnienie bezpieczeństwa w Europie, prezydent miał ciche przyzwolenie społeczne i polityczne dla swoich inicjatyw. Teraz nastroje radykalnie się zmieniły. Choć więc Roosevelt uważał, że USA mogą odegrać ważną rolę w umacnianiu ładu europejskiego, to jednak zdecydował się jeszcze bardziej ograniczyć zainteresowanie Europą. W efekcie nasilające się tendencje ekspansjonistyczne i militarystyczne III Rzeszy – z jednej strony, a z drugiej – wzrost nastrojów antyniemieckich w USA,



zamiast skłaniać Amerykę do większej aktywności na arenie europejskiej, zdecydowanie wzmacniały amerykański izolacjonizm.

---

**Prof. dr hab. Jadwiga Kiwerska** – pracownik Instytutu Zachodniego i Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, historyk i politolog, specjalistka w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.